

Rozdział 1 Lud przeklęty

Czuł że coś jest nie tak. Zwyczajne wrzaski chorych zostały zastąpione odgłosami walki i wrzaskami, lecz nie ludzi cierpiących długo ale rozdartych nagłym uderzeniem bólu. Uniósł głowę. Jego cela wyglądała jak zawsze. Niewielka kamienna klitka z wiechciem siana w jednym rogu, a dziurą na nieczystości w drugim.

Jednak coś się zmieniło. Ból dotąd rozsadzający mu głowę, drażący każdą kość, kłujący każdy kawałek skóry, po prostu zniknął. Było to o tyle ciekawe doświadczenie, że postanowił zastanowić się jak ma na imię. Po chwili z wściekłością uznał, że nie pamięta. Nie pamiętał niczego poza bólem i celą. W zasadzie zdolność wściekania się była dobrym znakiem, uznał. W zamyśleniu spojrzał na swoją lewą dłoń i zobaczył to.

Był to dziwny symbol przedstawiający jakby pysk osobliwego stworzenia widziany z przodu i trochę z góry. Było to coś na kształt blizny lub znamienia i jarzyło się lekko szkarłatem. Dalsze obserwacje przerwał mu głos z korytarza mówiący: „wyrznąć wszystkich” oraz dźwięk otwieranej zasuwę jego celi.

– Niech ten miecz zniszczy bluźnierstwo – wymamrotał ktoś do siebie, zbliżając się do niego.

Człowiek z celi wstał. Napastnik przystanął, zaskoczony, że tym razem cel nie miota się bezładnie po podłodze. Zmierzył wzrokiem bary ofiary i trochę niepewnie zaatakował. Odziany jedynie w płóciennę portki cel nie miał szans przeżyć bezpośredniego ciosu. Jednak zadziałały jakieś instynkty i zdołał się uchylić, a następnie złapać napastnika za wyciągniętą do przodu rękę oraz za pas i rzucić nim o ziemię.

Kim ja do cholery jestem, pomyślał podnosząc miecz i przybijając przeciwnika do posadzki.

– Co do... – wykrzyknął drugi wbiegając do celi. Został uderzony na odlew przez łeb. Trzeciego, stojącego w korytarzu zmiotła jakaś osobliwa siła. Gdy człowiek z celi wychylił się ostrożnie sprawdzając, co spowodowało tą anomalię dostrzegł dwu i pół metrowej wysokości człowieka, odzianego w coś pośredniego między szatą a kolczugą.

– Ach...widzę że kolejny pokonał chorobę – odezwał się ów człowiek uspokajająco, a na jego pobrużdżonej zmarszczkami twarzy wykwitł uśmiech, zasłaniany trochę przez krótką białą brodę. – Odparliśmy już atak. Chodź, odbierzesz swój depozyt.

– Nazywasz się Haknir, a przynajmniej tak się przedstawiłeś. Przybyłeś tu kilka tygodni temu prosząc o azyl. Wielu chorych to robi. Właśnie po to istnieje ta twierdza.

– Tak... przypominam sobie coś... – Wymamrotał jeszcze niedawno siedzący w celi dla chorych Haknir.

– Zaniki pamięci miną, to całkiem normalny objaw choroby bestii – rzekł wysoki opiekun chorych. – To przejdzie. Są jednak rzeczy, które nie przemina. Żeby przybliżyć ci czym się stałeś, muszę opowiedzieć ci o samej chorobie.

Haknira zadowoliło znalezienie we własnej skrytce normalnych ubrań i skórzanego napierśnika. Ponadto znajdowały się tam dwa sztylety umocowane do długich łańcuchów i paskudnie wyglądający miecz o ząbkowanym ostrzu.

– Nikt do końca nie jest pewny, skąd bierze się ta choroba będąca częściowo klątwą. Nikt też nie wie jak się rozprzestrzenia. Pewnym jest jednak, – ciągnął opiekun zarażonych, – że jest nieuleczalna. Większość zarażonych mutuje w krwiożercze potwory, jednak część wykazuje się na tyle silną wolą, że nie pozwala się zdegenerować. Nie unikają oni, co prawda pewnych, najczęściej dotyczących oczu i włosów, zmian fizycznych, ale zachowują pełnię sił umysłowych. Za wyjątkiem zaników pamięci, ale to przechodzi z czasem.

– Jak się nazywasz? – zapytał Haknir dopinając sprzączki napierśnika.

– Mówią mi Qenarin.

Niedawny lokator celi pokiwał głową i podszedł do wiszącego na ścianie lustra.

– Masz tu jakąś wodę i wiadro? – zapytał.

– Znajdzie się – odparł Qenarin i wychylił się na korytarz, by coś do kogoś zawołać.

Haknir przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Tak jak wywnioskował ze strzępków swej pamięci wyglądał na młodego człowieka. Prawdopodobnie niedawno dopiero osiągnął dorosłość. Niestety było to zbyt ogólne pojęcie, gdyż dorosłość była przecież odmiennie interpretowana w różnych kulturach. Dla odmiany przyjrzał się swoim włosom. Były gęste, sięgały trochę za ramiona i miały bliżej nieokreślony kolor oscylujący między ciemnym blondem a jasnobrązowym. Najbardziej, jednak rzucały się w oczy... właśnie oczy. Jarzące się żółtopomarańczowym poblaskiem żaru punkciki. Odwracały też uwagę od pokrytej kilkoma bliznami twarzy, o raczej twardych rysach.

– Oto woda – Oznajmił Qenarin. – Ogoł się, umyj czy co tam chcesz.

– Jakies sugestie, dokąd powinienem się udać?

– Jeśli szukasz miasta z prawdziwego zdarzenia, na południowy wschód stąd leży Ferhneum. Dawno już nie miałem stamtąd wieści, ale miasto powinno nadal stać.

– Oby – wymamrotał Haknir. – Często macie tu takie ataki?

Qenarin nachmurzył się.

– Zdarzają się, ale zazwyczaj wszelcy fanatycy, którzy nas napadają nie są w stanie wdrzeć się do środka.

– Jacy fanatycy?

– Tacy, którzy ubzdurali sobie, że ich misją jest uratowanie świata przed przeklętymi.

Jeszcze tego samego dnia Haknir wyposażony w zapasy wody i jedzenia wyruszył do Ferhneum.

– Nie wszyscy przekłeci są godni zaufania. – Wcześniej zakomunikował mu Qenarin. – W zasadzie istnieją trzy główne organizacje skupiające takich jak my: zajmująca się likwidowaniem potworów Przeklęty legion, usiłujące z różnym powodzeniem panować nad potworami Dominium oraz wyjątkowo paskudna Sekta Bestii, od niej trzymaj się z dala.

Haknir rozejrzał się jeszcze po skąpanym w promieniach słońca mroźnym Skalistym Pustkowiu ruszył na zachód.

Lyneth, król Ashmere uderzył w stół przerywając kłótnię. Władcy zebrani w tej sali kłócili się bezwstydnie, tam gdzie potrzebna była najwyższa powaga. Jego irytację pogłębiał fakt, że zaginiony przed kilkoma tygodniami dowódca służb specjalnych wciąż się nie znalazł, a tylko on, chociaż młody i traktowany niepoważnie przez prawie wszystkich liczących się ludzi potrafił utrzymać pod kontrolą zmutowany twór militarno – społeczny, jakim były służby specjalne jego kraju.

– Najznamienitsi ludzie tego świata. Wszyscy, którzy się liczą – zaszydził. – Zebraliśmy się tu aby przedyskutować sprawę plagi potworów, a nie złożyć oleju skalnego, rzekomo należącego się Kościołowi Świeatlistego Grotu.

– Kościół ma pełne prawo do złóż z terenów podległych Tervanii, gdyż jak przypominałem przed prawie pięćdziesięcioma laty jawnie tępilli wiernych Kościołowi. – Niemal wykrzyknął wstając gniewnie spasiony biskup Vil Fegrel.

Przecholował.

– W rzyci mam wasze racje klecho – wycedził przez zęby Lyneth. – Siadaj na dupie, bo wasze kościelne sakiewki nie są tematem na to akurat spotkanie.

– Właśnie – poparł go Stylkan król Tisdoru, nazywany za jego plecami rudym, ze względu na bujną czuprynę tegoż koloru. Sam Lyneth, choć mający ledwo czterdzieści lat na karku miał już zaczesane do tyłu siwe włosy i krótką siwą brodę.

– Tak, temat który mieliśmy poruszyć – Ciche słowa wyrzeczone przez Nemira, władcy Tervanii wydźwięczały z siłą grzmotu. – Ale jest nas tylko piątka. Inni są zajęci wojnami domowymi, nie żyją lub po prostu nie chciało im się pofatygować.

– Ich strata – zawyrokował Lyneth.

– Wszyscy zgadzają się co do tego, że potwory należy eksterminować,- Rzeczowo oznajmiła Velfena, psychopatyczna imperatorka niewielkiego, lecz podejrzanie ambitnego państewka Ynvirii. Lyneth, pomimo jej nieziemskiego piękna nie lubił jej. Doskonale pamiętał pewną tisdorską anegdotkę, o tym jak źle kończy się myślenie przyrodozieniem. Velfena była nie tylko piękną, cycatą blondynką, ale także okrutną

psychopatką i jak mówiły plotki, sadystką z wybuchami agresji. Lyneth był królem. Oczywiście nie wierzył plotkom. Wierzył szpiegom, a ich relacje mówiły więcej niż wiele. Tych, którzy wrócili.

Chrząknął.

– Jest jeszcze druga sprawa. – Oznajmił.

– Mianowicie? – Zapytał ten chuderlawy, czarnowłosy młodzik Nevmir.

– Mianowicie Przekłęci, Nieugięci, Nieprzemienieni, Ludzie Bestii – spokojnie wytłumaczył Lyneth. – Mają wiele nazw.

Biskup Vil Fegrel zrobił się czerwony ze złości.

– To bluźniercze stworzenia! – Krzyczał. – Pozbawione dusz plugastwa!

– Nie wiem czy pozbawione dusz – odrzekł Lyneth, ścierając krople śliny ze stołu przed sobą, sam zaskoczony swoim opanowaniem. – Określanie czy dana istota posiada duszę wykracza niestety poza moje kompetencje. Natomiast z całą pewnością mogę stwierdzić, że przynajmniej część z nich posiada rozum.

– Skąd ta wiedza? – Zapytała Velfena.

– Stąd, że raptem półtora tygodnia temu przyjąłem delegację Przekłętego legionu.

Fegrel prawie dostał apopleksji.

– Delegacja od tych potworów!? Gdy Święta liga się o tym dowie-

– To co kurwa?! – wydarł się wstając Lyneth. Biskup usiłował zapaść się w sobie, co przy jego tuszy skończyło się jedynie wylaniem bokami krzesła. – Póki co ja rządę w moim kraju! Jeśli ludzie tak wszystko się nie podoba dlaczego nie przysłali tu swojego członka? Bali się że skopię im te ich świętoszkowate tyłki?

– Spokojnie, Lyneth. Wiem co możemy zrobić. – Uśmiechnął się Nemir. – Skoro posiadają nadludzkie moce, po prostu wcielmy ich do swoich armii.

Lyneth odetchnął, siląc się na spokój.

– Nie. Powiem wam co zrobimy – rzekł. – Zostawimy ich samych sobie.

Wstał. Obrady były zakończone.

Trzeci dzień podróży był w zasadzie identyczny jak dwa poprzednie. To znaczy, że Haknir szedł po nierównym traktzie potykając się o wyrastające gdzieś krzaki. Dookoła jak okiem sięgnąć rozpościęrało się skaliste pustkowia. Mimo zimna nie widać było oznak bytności śniegu w okolicy. Co jakiś czas pojawiała się samotne drzewo, na tyle uparte by wyrosnąć na tym zapomnianym przez bogów pustkowiu.

Szedł niestrudzenie, zatrzymując się jedynie na chwilę snu, lub gdy do któregoś buta dostawał się wyjąt-

kowo irytujący kamyczek. Z jakiegoś powodu dotarcie do miasta wydawało mu się niezwykle ważne. Dręczyły go też powracające urywki wspomnień. Podczas snu widział swoją wędrówkę ku majaczącej w oddali górze, leżących na ziemi ludzi wijących się w agonii. Każdy przyciskał lewą dłoń do ciała. Pojawiały się też skrzydlate pokraki krążące na tle czerwonego nieba. Próbował sobie przypomnieć więcej szczegółów, lecz to okazywało się niemożliwe i niesamowicie irytujące.

Teraz zza wzniesienia wyłonił się osobliwy obraz człowieka siedzącego na przydrożnym drzewie. Zdziwiłoby to przekłętą, ale widoczne było iż nieszczęśnik wdrapał się tam uciekając przed trzema istotami, przypominającymi zasuszonych ludzi.

– Pomóż – jęknął człowiek siedzący na drzewie. – Dłużej się nie utrzymam.

Nawet gdyby Haknir nie zamierzał mu pomagać to pokraki i tak rzuciły się w jego stronę. Wyćwiczonym ruchem dobył miecza i ciał najszybszego na odlew, oburącz. Siła uderzenia zmiotła go dobre kilka metrów dalej, ale i tak zaczął się podnosić.

– Więc tak gramy? Proszę bardzo – mruknął Haknir.

Kolejnego trafił z szerokiego zamachu w szyję. Ostrze uwięzło w kręgosłupie. Szarpnął nim i zęby miecza urznęły stworowi głowę. Trzeci brzydał po prostu wbiegł w miecz uniesiony na wysokość jego czoła. Haknir natychmiast wyszarpnął miecz, podciął pierwszego i uderzył ostrzem w nasadę jego czaszki. Na koniec zakończył cierpienia miotającego się w drgawkach trzeciego.

– Możesz zejść – krzyknął do dzielnie wiszącego na drzewie pechowca.

– Dzięki wielkie dobry człowieku – powiedział mężczyzna, nieudolnie zsuwając się z drzewa. Był średniego wzrostu, miał brązowe, związane z tyłu włosy i nijaką twarz. Ubrany był w zwyczajne podróżne ubranie. Solidne i nienadające się na salony.

– Nazywam się Zagaw. Zagaw Ugolton. Wędrowny handlarz, gawędziarz i twój dłużnik. – Powiedział.

– Ja jestem Haknir, a ty nie jesteś mi nic winien.

– Jak sobie chcesz – stwierdził Zagaw szczerząc się. – To było niesamowite. Oni się na ciebie rzucili, a ty ich tak pięknie pochlastałeś. Skąd jesteś?

– Nie pamiętam, – odrzekł nieco skonsternowany.

– Jesteś jednym z przeklętych? – Zapytał Zagaw w dalszym ciągu radosny jak skowronek.

Haknir w odpowiedzi pokazał mu lewą dłoń.

– Wiedziałem – zakrzyknął handlarz. – Skoro twoje zaniki pamięci to efekt klątwy, na pewno przejdą. Znałem kiedyś jednego przekłętą. Też miał problemy z pamięcią. Pewnego razu podczas bójki w karczmie wziął czymś przez łeb. Cholera wie czym, ale prawie go zabiło. Bity tydzień nic tylko leżał i rzygał. Ale pewnego dnia po prostu wstał i okazało się, że i rzyganie przeszło, a i pamięć wróciła.

– Jeżeli sugerujesz, żebym wałnął w coś głową, to chyba podziękuję. – Oświadczył Haknir. – Wiesz coś o tych tutaj? – Trącił nogą jedno ze stworzeń.

- Owszem. Miałem wątpliwą przyjemność o nich słyszeć. Nazywają je ghulami. Ponoć tworzy je potężny czarnoksiężnik z pojmanych ludzi.
- Brzmi świetnie – ponuro stwierdził Haknir.

Rozdział 2 Herold zagłady

Później nie potrafił powiedzieć co go obudziło. Mógł to być ledwo słyszalny dźwięk, jak garść piasku osypująca się po skałach. Mógł to być chłód mgły, która przyszła w nocy. Faktem było jednak, że się przebudził, a jego podparta bagażem głowa skierowana była tak, że widział pobliskie wzgórze, na którym rosło powykęcane drzewko i stała samotna ludzka postać.

Haknir wstał i ruszył ku tajemniczej postaci. Przy okazji ze zdziwieniem odkrył, że zadziwiająco dobrze widzi w ciemnościach.

Gdy dotarł na szczyt wzgórza zobaczył iż to, co wziął za człowieka było trupem. Umarlak wyglądał jak dopiero co wstały z grobu wojownik północy. Zasuszona skóra, wyszczerzone zęby i jarzące się błękitną poświatą oczy.

- Jesteś – wyrzekł chrapliwie, obracając ku Haknirowi głowę odzianą w hełm wyposażony w masywne rogi. – Oczekiwałem cię.
- Kim jesteś? – Zapytał przekłety, bacznie obserwując istotę.
- Możesz mnie nazywać Draugrem.
- Czego ode mnie chcesz?
- Chcę ci pomóc, i przypomnieć.

Haknir spojrzał na niego podejrzliwie.

- Co przypomnieć?

Draugr spojrzał w dal i gdy wydawało się, że to już koniec rozmowy nagle przemówił.

- Masz osiemnaście lat Haknirze, a mimo to byłeś kimś ważnym. Postanowiłeś osobiście rozwiązać sprawę Bestii. Udałeś się na samotną misję i odkryłeś straszliwą prawdę, którą musisz sobie przypomnieć.
- Zostawiłeś mi więcej pytań niż udzieliłeś odpowiedzi, niemniej jestem ci wdzięczny.
- Za co?
- Za objawienie mi mojego celu.

Draugr uśmiechnął się. Dla przeklętego niepojęte było, jak zdołał to zrobić nie posiadając warg, lecz ewidentnie się uśmiechnął.

– Weź to – powiedział podając mu spore zawiniątko. Gdy Haknir wziął je do ręki, okazało się zaskakująco lekkie. Rozwinął je. Był to hełm. Lekki, błyszczący, o raczej szarym kolorze, zadziwiająco gładki, jakby nie wykuty ale wręcz stworzony przez nieznaną siłę. Uniósł go, aby dokładniej mu się przyjrzeć. Przez środek hełmu biegło coś na kształt niskiego grzebienia. Sam hełm zachodził aż za oczy, a dalej grzebień przechodził w nosal. Z przodu wycięte na oczy były dwa otwory w kształcie oczodołów, a po obu stronach hełmu do góry wznosiły się wykonane z tego samego metalu co hełm rogi.

– Jest wspaniały – wyszeptał Haknir.

– Prawda? Oby przyniósł ci szczęście.

– Nie wiem jak ci się odwdzińczyć.

– To proste – oświadczył Draugr. – Powstrzymaj upadek tego świata. Muszę już odejść. Bywaj śmiertelniku.

– Bywaj Draugrze – rzucił przeklęty, spoglądając na południe.

Haknir wrócił do prowizorycznego obozowiska i zaczął od prób obudzenia Zagawa. W końcu okazało się, że jedyną skuteczną metodą zmuszenia towarzysza podróży do wstania jest solidny kopniak.

– Czego chcesz? - zapytał Zagaw. – Ledwie świta. I skąd masz ten hełm? - dodał gdy się rozbudził.

– Od południa zbliża się armia – odrzekł Haknir. – Nie wiem czyja, ale wiem, że chcę być w mieście przed nią.

– A jeśli zostaniemy tam uwięzieni przez oblężenie?

– To nie czas na gbybanie. Jeśli idziesz ze mną, streszczaj się.

Ruszyli więc w dalszą drogę, lecz tym razem ścigając się z armią. Byli blisko, ale tajemnicze wojsko przybywało z południa i miało łatwiejszą drogę.

Następnego dnia, w samo południe („cóż za dramatyzm” - pomyślał Haknir) ujrzeli mury Ferhneum. Wyniosłe, wspaniałe miasto leżące w zaadaptowanej na rzecz rolnictwa i pasterstwa dolinie. Mury z idealnie dopasowanych kamiennych bloków, domy kryte czerwoną dachówką. Wyniosłe wieże, na których mieściły się spizowe dzwony, na tę chwilę bijące na alarm. Do miasta, niemal idealnie na lewo zbliżała się chmura kurzu, z rodzaju tych które tworzą się w wyniku przemarszu podejrzanie dużych armii.

– O kurwa. – Wyrwało się Haknirowi, lecz po chwili stwierdził, iż to nader trafne określenie sytuacji.

– To ghule! – wykrzyknął Zagaw.

Obaj zrozumieli się bez słów i choć chcąc jak najszybciej dostać się do miasta maszerowali całą noc, przyspieszyli do biegu.

Biegli na przełaj przez pola, nie chcąc tracić czasu na męczenie się ze skrajnie zygzakową drogą. Na ich szczęście większość ghuli stanowiących trzon osobliwej armii nie poruszała się zbyt szybko. W zasadzie głównym problemem były potwory. Haknir wyczuł je jeszcze zanim je dostrzegł. Było to osobliwe uczucie. Po prostu wiedział, że tam są. Byli już niecałe pięćdziesiąt metrów od bramy, gdy poczuł jak jeden potwór wysforowuje się do przodu.

– Biegnij! – Rzucił do Zagawa i obrócił się ku szarżującemu na niego stworzeniu. Bydle było wyjątkowo brzydkie i niczym nie przypominało człowieka, którym musiało przecież kiedyś być. Chwila, skąd to wiedział? Potrząsnął głową. To było teraz nieistotne. Liczył się tylko potwór, który właśnie wykonał perfekcyjny skok z pozycji czterech łap. Tylne były nieco krótsze i mniej umięśnione od przednich, dodatkowo rozstawionych na boki. Gdy stwór tak leciał na niego, Haknir miał wspaniały widok na pysk, pełen pożółkłych kłów i umieszczone po bokach głowy zapadnięte, bladożółte ślepia. Wszystko pokryte, podobnie jak reszta ciała grubą, szarą skórą. Oczywiście głowa była wielkości tułowia przekłętego, a samo cielsko długie na prawie trzy metry. Haknir zanurkował pod potworem rozrywając mu mieczem gardło, odtoczył się i pobiegł dalej, zalany potworną posoką. Zerknął przez ramię. Bydle próbowało go ścigać, ale strumień krwi, którego nie powstydziłaby się żadna fontanna skutecznie pozbawiał stwora sił. Wojownik potknął się na kamieniu, ale ustał na nogach, choć klnąc jak szewc.

Gdy dobiegł pod bramę Zagaw już tam stał i wyklócał się ze stojącymi na górze strażnikami.

– Chcecie nas tu zostawić? – pytał wędrowiec.

– Nie, ale nie będziemy narażać miasta – odwrzasnął z góry sierżant straży. Stopień można było poznać, między innymi, po obfitym wąsie, wyróżniającym go z towarzystwa gołowąsów.

– Cholera – wydarł się Haknir. – Po prostu rzućcie nam linę – powiedziawszy to musiał obrócić się by stawić czoła kolejnemu potworowi, dla odmiany wyposażonego w tradycyjny wilkołaczy wygląd z pakietem bonusowych rzędów zębów, rogami na głowie oraz najeżonym kolcami kręgosłupem. Lekce sobie ważąc wbity w mostek zębaty miecz, młócił przekłętego szponiastymi łapami, do czasu gdy ubrany w rogaty hełm zabijaka, powoli niemal przepiłował go na pół. Zalany krwią własną i potworną, Haknir sam dziwił się że stoi na nogach. Po chwili jednak zauważył, że jego rany zaczynają goić się na jego oczach.

– Świetnie – mruknął do siebie. – Zawsze marzyłem o czymś takim.

Rozmyślenia przerwały mu wrzaski sierżanta, drącego się na swoich ludzi, by ktoś przyniósł linę.

Rany zadane pazurami potwora okazały się dość płytkie i jako takie zagoiły się w może nawet mniej niż dziesięć minut. Jednak samemu procesowi gojenia towarzyszyło bolesne pieczenie. Haknir udawał, że nic takiego nie ma miejsca. Obejrzał też swój skórzany napierśnik. Oględziny strzępów jednoznacznie wykazały iż niezbędne będzie zakupienie nowego pancerza. Najlepiej trwalszego. Żołdacy puścili ich wolno, ale przekłętego z obowiązkiem stawienia się przed obliczem kapitana straży o zmierzchu. Haknir i Zagaw nie pytając o szczegóły zostawili strażników, w skupieniu przyglądających się armii ghuli, która straciwszy impet natarcia rozlewała się po polach.

– Dokąd idziemy? – Zapytał Zagaw po niezwyklej dla niego chwili milczenia, która tym bardziej za-

dziwiła Haknira, że wędrowny handlarz zdążył zapoznać go już z historiami, które przydarzyły się jego kuzynom trzeciego stopnia od strony matki.

– Na razie chcę się rozejrzeć – powiedział przeklęty.

– Dobrze, rozglądaj się ile dusza zapagnie. Załatwię miejsce w gospodzie „Pod dumnym gryfem”. Nazwa kiczowata, ale to najlepsza karczma w mieście. Właściciel jest moim znajomym. Gospoda leży przy rynku, na pewno trafisz.

Gdy Zagaw poszedł do karczmy, Haknir skierował swe kroki w kierunku, gdzie jak powiedzieli mu strażnicy znajdował się płatnerz. Jednak, gdy stanął przed sklepem płatnerza z zakłopotaniem zdał sobie sprawę, że właściwie nie posiada pieniędzy. Nie chcąc skompromitować się przed Zagawem, który niewątpliwie zapytałby go o powód tak szybkiego powrotu, ruszył przez ulice i uliczki Ferhneum.

Gdyby zapytał któregoś z poruszonych najazdem mieszkańców o to miasto dowiedziałby się zapewne iż miasto jest niezwyciężone, że jest wspaniałe, nigdy nie zostało podbite i że rozmówca musi już iść, ukryć się w piwnicy. Miasto Ferhneum w swojej długiej i bogatej historii zostało podbite dwadzieścia siedem razy, w tym dwa razy przez wtedy już podstarzałego generała Tybrisena. Byłby to spory wyczyn, gdyby za drugim razem nie odbił miasta ze swoich własnych rąk (długa historia). Przeważnie jednak będąc podbijanym, Ferhneum nie było nawet specjalnie rabowane, a prób spalenia było jedynie kilka. Wątpliwe jednak, by spodziewać się można było specjalnego miłosierdzia po armii wysuszonych, niegdyś ludzkich istot, z niewiadomego powodu nazywanych ghulami. Prawdziwe ghule były po prostu gatunkiem wyjątkowo niesympatycznych zarówno z charakteru, jak i wyglądu padlinożerców.

Haknir zaczynali już nudzić ludzie kryjący się na widok jego oczu, tudzież poszarpanego skórzanego kaftana, pod którym nie widać było ran.

Nie trzeba było wchodzić w tę uliczkę, pomyślał, gdy zobaczył przed sobą czerech młodych osobników, z rodzaju tych którzy wyłażą na ulice wyrzaskując hasła w stylu „Ashmere dla Ashmerczyków”. Nawet teraz trzymali swoje nieodłączne narzędzia pracy w postaci pałek z twardego drewna i noży w różnym stanie zużycia. Szybkie zerknięcie za siebie przekonało przeklętego, że kolejnych dwóch odcięło mu drogę. Zacisnął zęby. Teraz pozostawała mu tylko walka.

– Myślisz dziwaku, że masz prawo chodzić po naszym mieście? – Zapytał jeden wychodząc przed szereg.

– Ja dzisiaj zrobiłem dla niego więcej, niż ty przez całe życie – rzekł filozoficznie Haknir.

– Co niby?

– Zabiłem dwa potwory pod murami.

– Sam jesteś potwór – wrzasnął przywódca i zamierzył się pałą. Haknir przyjął cios na przedramię, owinięte łańcuchem zakończonym sztyletem. Zbił kolejny cios pałą i przyłożył na odlew przywódcy, aż ten oparł się o mur.

Przez chwilę rozbrzmiewała cisza, po czym wszyscy młodzi nacjonaliści rzucili się z wrzaskiem na Haknira. Pierwszy od razu stracił kilka zębów. Niestety po kilku celnych ciosach wojownik zaczął obrywać. Przed ciosem w głowę osłonił go jedynie rogaty hełm, pchnięcie sztyletem zablokował łańcuchem na

przedramionach, ale w następnej chwili poczuł jak nóż wbija mu się w plecy i masakrują go bezwzględne ciosy pałek. Ogarnęła go wściekłość, którą zaraz przygasił. I rozpoczął się mord. Szybkimi ruchami nadgarstków sprawił, że do jego dłoni zsunęły się sztylety. Nie zauważyli tego. Przynajmniej dopóki pierwszy zwałił się na bruk wrzeszcząc i rozpaczliwie próbując umieścić wnętrzności na powrót w swoim brzuchu. Dalej poszło szybko.

Padali po kolei. Drugiemu i trzeciemu poderżnął gardła. Czwartego zadźgał w szale, ale szybko się opamiętał. Piąty próbował uciekać. Haknir chwycił za łańcuchy i machnął nimi powoli poluzniając chwyt. Ostrza przecięły obie łydki uciekającego, który z hukiem i niehumanicznym wrzaskiem wywrócił się w kałużę.

Jednak za późno zdał sobie sprawę, że o kimś zapomniał. Dostał pałką w łeb, tak że rogaty hełm zleciał mu z głowy. Nie zobaczył dokąd ten poleciał, bo kolejne dwa ciosy rzuciły go na kolana. Przywódca już nieistniejącej grupy złapał go za włosy, odgiął mu głowę do tyłu i poderżnął gardło. Nieprofesjonalnie, a jakże, przemknęło Haknirowi przez głowę. Upadł bokiem na bruk. Próbował złapać oddech, chociaż wiedział, że nic z tego nie wyjdzie.

Spojrzał z gniewem na swojego oprawcę unoszącego jego własny miecz. Cholera, co mnie napadło żeby używać zębatego miecza? Zdążył jeszcze pomyśleć.

W chwili, gdy napastnik miał uderzyć w polu widzenia przeklętego pojawiła się ręka, która uniosła oprycha i rzuciła nim o ścianę. Następnie ujrzał pozostałą część niespodziewanego obrońcy.

Był to człowiek ponad dwumetrowego wzrostu i nieprzeciętnej muskulatury. Przybysz schylił się tak, że Haknir mógł ujrzyć jego twarz o kwadratowej szczęce i o w pewien sposób prymitywnych rysach. Włosy siłacz miał jasne i krótko ścięte.

– Żyjesz chłopie? – Zapytał.

Atlas, bo tak nazywał się osobnik który go uratował, również okazał się być przeklętym. Zaprowadził go do znajomej, która niedawno ukończyła studia na uczelni, której nazwy Haknir i tak nie zapamiętał i poświęciła się badaniom potworów i przeklętych. Teraz siedział na wytartej kanapie i popijał jakiś gorzki napar na ból gardła (Jakby to miało w czymś pomóc).

– Niesamowite – stwierdził Atlas. – Raptem pół godziny temu leżałeś na bruku, dławiąc się własną krwią.

– Miałem szczęście, że tamten gość nie potrafił podrzynać gardła. – Wycharczał Haknir.

– Słyszałeś o Przeklętym Legionie? – Zaciekał się Atlas.

– Obiło mi się o uszy.

– Jestem legionistą. Zgłosiłem się na ochotnika, by sprawdzić pogłoski o tych całych ghulach, a teraz sam, bez wsparcia siedzę tu na dupie, otoczony przez armię tego draństwa.

– Nie możesz wezwać pomocy?

– Już to zrobiłem.

– Może nie dotarło...

– Dotarło, ale odsiecz nie ma szans przybyć. – Spochmurniał wielkolud, po czym ożywił się trochę i zapytał. – Wiesz w jaki sposób przekłęci mogą się komunikować?

– Nie.

Pokazał Haknirowi znak Bestii na lewej dłoni.

– Wszyscy jesteśmy tym połączeni. Wchodząc w stan medytacji mogę komunikować się z innym przeklętym w tym samym stanie. Jak zapewne wiesz przekłęci mają silniejszą wolę niż potwory. W ten sposób Dominium panuje nad swoimi bestykami.

– Nie ma żadnych konsekwencji?

– Oczywiście że są. Kiedy patrzysz w otchłań, otchłań patrzy na ciebie. Czy jakoś tak.

Słyszając to Haknir postanowił odłożyć plan poskromienia jakiegoś potwora na czas nieokreślony.

– Zdajesz sobie sprawę, nas też nie ominie bitwa o to miasto? – zapytał.

– Wiem to i stanę do walki.

Haknir spojrzał na słońce chylące się ku zachodowi i w jego głowie począł formować się pewien plan.

– Chodź za mną, – rzucił wstając. – Przydadzą się cięższe argumenty.

Niespełna godzinę później siedzieli niczym grzeczni petenci w biurze kapitana straży Ponteriusa Drakwo.

– Nie będę wam kłamał panowie – rzekł Drakwo. – Obawiam się, że jako przekłęci możecie okazać się naszą jedyną nadzieją w walce z zagrożeniem, czyhającym u naszych bram. Zagrożeniem, z którym moi strażnicy nie mają szans.

Kapitan przechadzał się po drugiej stronie biurka, kołysząc brzuchem i siwym wąsem.

– Mielicie już do czynienia z podobnymi stworami? – Zapytał.

Obaj przekłęci pokiwali głowami, a Haknir zapytał:

– Wiadomo coś na temat przewidywanego czasu ataku?

– Niestety nie. Złapaliśmy jednego z przeklętych, ale nie chce się chociażby odezwać. Niestety, miejski mistrz tortur dostał zawału w zeszłym tygodniu, a to zbyt delikatna sprawa by powierzyć to czeladnikowi.

Przekłęty pokiwał głową, ale zaraz zapytał o dyspozycyjność więźnia.

Miał już pewien plan.

Zanim wprowadzono więźnia, Haknir wtajemniczył kapitana i Atlasa w swoją małą grę. Ograniczył maksymalnie ich rolę, gdyż nie do końca wierzył w umiejętności aktorskie obydwu*. Zadbął też o odpowiedni wystrój pomieszczenia. Wyniósł kojące roślinki doniczkowe, wbrew protestom kapitana zrzucił wszystkie papiery na jedną kupę, oraz wykonał inne czynności czyniące biurko jak najbardziej psychopatycznie nijakim.

Gdy wprowadzono więźnia ujrzał pogrążone w mroku biuro, gdzie jedynym źródłem światła była lampa olejna stojąca na biurku. Miała dołączone lustro służące skupianiu światła. Postacią wybijającą się na pierwszy plan był Haknir nadal ubrany w postrzępiony i pokrwawiony skórzany napierśnik. Na głowie miał swój rogaty hełm, nadający mu wyjątkowo wredny wygląd, a w otworach hełmu świeciły upiornie jego oczy.

Przyjrzał się więźniowi. Wyglądał na jakieś dwadzieścia pięć lat i miał twarz o klasycznych rysach, pewnie mogącą uchodzić za przystojną, gdyby nie widniejące na niej akurat sińce. Zlustrował jego jasne, zmierzwiłone włosy oraz niebieskie oczy. Nie widać było żadnych zmian, które w tych elementach miały występować najczęściej. Haknir był tego zresztą żyjącym przykładem. A jednak według słów strażników więzień miał znamię bestii.

– Siadaj – spokojnie nakazał Haknir, gdy obaj strażnicy ustawili się pod ścianą. Zgodnie z jego przypuszczeniami więzień nie posłuchał. Tak jak podejrzewał był to hardy typ, który zawział się że nie wyda z siebie żadnego dźwięku, by nie zdradzić ważnych informacji. Cóż, takich też szło złamać. Wystarczyło sprawić by w jakiś sposób złamał tą swoistą przysięgę milczenia, a dalej było już tylko z górki.

Haknir delikatnym skinięciem dał znak Atlasowi. Ten stanął za więźniem i położył mu rękę na ramieniu, a następnie docisnął go do krzesła. Opór był bezcelowy w starciu z miażdżącą siłą Atlasa.

Przez następne kilka minut Haknir i więzień toczyli pojedynek na spojrzenia. Pierwszy wzrok odwrócił ten drugi, co zdziwiło Haknira. Nie spodziewał się tak szybkiego zwycięstwa. Oczywiście nie zdawał sobie sprawy, z tego jak bardzo przerażające było jego spojrzenie. Oczy płonące ognistym blaskiem, który wypalał się nie tylko na oczach, lecz także głębiej, poruszając delikatne struny lęku i pierwotnego strachu. Tym drobnym zwycięstwem Haknir rozpoczął przesłuchanie. Ustawił jeszcze lustro przy lampie tak aby świeciło prosto w oczy przesłuchiwanego.

Przesłuchanie ciągnęło się tak długo, że wszyscy biorący udział stracili poczucie czasu. Haknir zadawał pytania. Wciąż i w kółko ten sam zestaw. Różnym tonem, czasem zza pleców więźnia, czasem z twarzą tuż przy jego twarzy, wciąż i nieustająco. A przesłuchiwany milczał. Haknir uderzył go kilka razy, lecz nie doczekał się żadnej reakcji.

W końcu ustawił się za biurkiem i spokojnie oznajmił.

– Przesłuchanie dobiegło końca. Jesteś wolny.

W oczach więźnia po raz pierwszy pojawiło się ożywienie, choć wymieszane z niepewnością.

– Proszę tylko zabrać swoje dokumenty. – Mówiąc to otworzył szufladę. Przesłuchiwany zrobił kilka kroków naprzód. Haknir stłumił ekscytację. To może się udać, pomyślał.

Więzień powoli wyminął biurko, wciąż podejrzliwie zerkając na Haknira, którego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Włożył rękę do szuflady, by wyciągnąć podłożony wcześniej fałszywy dokument. Przesłuchujący nieludzko szybko zatrzasnął szufladę, aż wszyscy podskoczyli, a zalegającą ciszę rozdarł wrzask bólu więźnia, któremu właśnie owa szuflada zmiażdżyła palce.

Haknir odetchnął z ulgą. Zaczynał obawiać się, że więzień jest niemową. Natychmiast przeszedł do ataku. Szarpnął więźniem, ale ten lewą, nieuszkodzoną ręką strącił mu hełm i złapał za bok głowy. Haknir natychmiast poczuł siłę wdzierającą mu się do umysłu, mentalne wiertło przebijające jego opór.

Rozejrzał się dookoła. To z pewnością już nie był gabinet kapitana Drakwo. W gabinecie dowódcy straży próżno byłoby szukać płonącego sosnowego lasu, otaczającego wypaloną już, do samej ziemi polanę.

– Podoba ci się? – zapytał stojący nieopodal więzień. – to w końcu projekcja twojego własnego umysłu. A tak w ogóle nazywam się Ayd i zamierzam wydusić z twojej głowy wszystkie przyteczne informacje.

Lyneth wparował jak burza do pomieszczenia dowództwa. Był wściekły. Ledwo przed chwilą musiał odbyć podróż za pomocą portalu i choć ufał magowi Canteriusowi, który był nie tylko doradcą ale i przyjacielem króla Ashmere, bardzo nie lubił podróżować w ten sposób. Oczywiście został ściągnięty, by osobiście ogarnąć burdel jaki powstał w ciągu jego stosunkowo krótkiej nieobecności.

Generał Zakvej zasalutował i szybko streścił sytuację Władcy.

Brzmiało to dość głupio.

Zasadniczo chodziło o to, że po Skalistym Pustkowiu, opuszczonym przez wszelkich wrogów zadupiu przemieszcza się armia złożona w większości z istot na wyrost nazwanych ghulami, będącymi w rzeczywistości magicznie zdegenerowanymi ludźmi, którzy do tego po jakimś tygodniu niemalże rozsypywały się w proch. Wywiad natrafił na szczątki pierwszych „zwerbowanych”. Donosił również o magu, będącym jednym z przeklętych, który tworzył te „ghule”. Ostatnie doniesienia sugerowały, iż ta osobliwa armia kieruje się w stronę Ferhneum.

Może warto wysłać tam oddział ekspedycyjny?

Tę właśnie chwilę wybrał sobie Canterius by wbiec do pokoju.

– Mój panie – wydyszał – czarodziej z Ferhneum wysłał sygnał o oblężeniu.

Lyneth podjął decyzję. Regiment pułkownika Oderta, zwany złośliwie łajdacką hałastrą.

Haknir patrzył przez chwilę na ciemne niebo. Mimo braku słońca, księżyca, czy gwiazd wszystko spowijał krwawy blask.

– Ale tu paskudnie – stwierdził.

Ayd wzruszył ramionami.

– To ty wykreowałeś ten świat – powiedział.

– Jeśli już to nieświadomie.

– Ale jednak.

Haknir wzruszył ramionami. Nieszczególnie wierzył że to coś oznacza. Ayd, zdaje się, wręcz przeciwnie.

– Cóż – powoli zaczął właściciel głowy, w której się znajdowali – nie chciałbym cię rozczarować, ale nie znam żadnych przydatnych informacji. Ba, moje wspomnienia sięgają jakiś tydzień wstecz.

Ayd zaklął.

– Amnezja przeklętych?

Haknir kiwnął głową.

– Nie byłeś nikim ważnym? – dopytywał się Ayd.

– Nie przypominam sobie.

– A ci tutaj? Słuchali cię.

Haknir uśmiechnął się.

– To był taki... teatrzyk.

Ayd wyglądał na wściekłego.

– Połamałeś mi palce sukinsynu – wydarł się. – Dobrze ci z tym? Lubisz zadawać ból?

– Gdybym lubił to robić, od razu wziąłbym narzędzia. W sumie powinienes mi podziękować. To tylko palce, jakoś się je nastawi.

– Wiesz co? Z niekłamaną radością zamknę cię w czeluściach twojego własnego umysłu w agonii wydającej ci się wiecznością. Próbujesz bawić się w cholernego herolda zagłady? Ja to zakończę.

Ayd znalazł się nagle przy Haknirze i przyłożył mu lewą rękę do boku głowy. Jednak pojawiające się uczucie pustki zostało wyparte przez narastającą wściekłość. Ayd zaczął wrzeszczeć z bólu.

Haknir poczuł, że otwiera oczy. Pierwszym co zobaczył, był odskakujący od niego, wydzierający się do zdercia gardła Ayd. Na jego lewej dłoni pojawiły się ślady oparzeń. Cofnął się pod ścianę i osunął po niej pojękując cicho. Strażnicy i Atlas patrzyli na całą tę scenę z zaskoczeniem.

Haknir, nie mniej zdziwiony całą sytuacją spojrzał na własne dłonie. Po palcach zatańczyły mu płomienie. Nie parzyły go, nie budziły w nim lęku, wydawały się jakby częścią jego samego. Zaczynało mu się to podobać.

Rozpalił płomienie w prawej dłoni i podszedł do kulącego się pod ścianą więźnia.

– Masz ostatnią szansę – uśmiechnął się okrutnie.

– Na koniec trochę cię poniosło, – powtórzył Atlas.

Haknir przewrócił oczami tak żeby siłacz tego nie zauważył. Stali na zachwaszczonym podwórzu, na które przytargał ławę i ustawił na niej puste butelki. Teraz strzelał w nie z kuszy.

– Słuchaj – powiedział w końcu. – Moglibyśmy go od razu zabrać na tortury. Połamanie mu szufladą palców, no coś zadziało, a co do poparzeń drugiej ręki to on najpierw próbował zamienić mnie w warzywo. Z resztą cyrulik go opatrzył.

Do tego, myślał Haknir, dowiedzieliśmy się wielu ciekawych rzeczy. Atak nastąpi najwcześniej za cztery dni, kiedy dotrą najemnicy. Jednak oczekiwanie na atak nie będzie przeciągać się w nieskończoność. Ghule zaczną niedługo wymierać. Co ciekawe okazało się, że tworzy je brat Ayda. Jakby brakowało świrów.

Wycelował i wystrzelił belt w kierunku pierwszej butelki. Trafił sąsiednią. Spróbował jeszcze raz. Tym razem pocisk poleciał w krzaki. Wściekły Haknir wyciągnął rękę, a butelka pod wpływem gorąca sama spłynęła z ławy.

– Niestety nasz więzień nie wiedział, jaki konkretnie jest cel ataku na to cholerne miasto – westchnął.

– Na szczęście mamy trochę czasu by zorganizować obronę. Haknirze, powinieneś pogadać z tymi kapłanami tutejszego boga ognia. Mogliby pomóc ci w organizacji obrony ogniem.

– Nie lubię kapłanów, świątyń ani bogów, ale możesz mieć rację – niechętnie przyznał Haknir. – Nie ma co tracić czasu. Zaraz do nich pójde.

Okazało się, że kapłani nie zamierzali przerywać swoich uroczystości, poszerzonych dodatkowo, ze względu na oblężenie miasta. Nie obyło się też bez zbierania datków. Pod tym względem wszystkie religie były takie same. Chyba, że chodziło o sekty. W każdym razie dopiero gdy ranek zamienił się w południe kapłani wielkiego Ofitrysa* łaskawie zdecydowali się przyjąć przeklętych.

Haknir i Atlas pokornie weszli do gabinetu dla interesantów i petentów i przysiedli na niewygodnych krzesłach stojących przed mahoniowym biureczkiem, którego gabaryty nie pozostawiały wątpliwości co do faktu, że aby wnieść je do pomieszczenia należało rozmontować nie tylko sam mebel, ale również ścianę.

Przyjął ich arcykapłan Firnak. Zasiadł za biureczkiem i rzucił krótkie „czym mogę służyć” tonem jednoznacznie dającym do zrozumienia, że jeśli ktoś tutaj będzie służył, to na pewno nie on.

Haknir zachował kamienną twarz, a Atlas chyba nie do końca pojął aluzję.

– Jesteśmy tu aby prosić o pomoc w obronie Ferhneum, – powoli rzekł Ognistooki przeklęty, starając się, aby w jego głosie nie było słyhać ani wściekłości, ani goryczy.

– Jak moglibyśmy pomóc w obronie miasta? – arcykapłan niemal mistrzowsko udał zdziwienie.

Haknir uniósł rękę na wysokość twarzy i ostentacyjnie przywołał żar. Udało się już za drugim razem.

– Te istoty zwane Ghulami są wrażliwe na ogień. Możecie użyć swojej magii by je podpalić.

– To nie magia. Wszelki ogień pochodzi od Ofitrysa. Również twój – pouczył go Firnak.

Haknir żałował, że ubrał się w białą koszulę i fikuśną, oficjalną kamizelkę. W jakiejś formie zbroi wygodniej by się negocjowało. Już nie mówiąc o braku groźnego hełmu, do którego zaczynał się przyzwyczajać.

– Nie obchodzi mnie ten wasz Opiates –

– Ofitrys.

– Tak, tak. W każdym razie wasz Ofiltes nie gra tu roli. Jestem tylko ja. Albo staniecie po mojej stronie, albo sprawdzimy czy wasz bóg pobłogosławił was ognioodpornością.

– Ośmielasz się nam grozić? – u boków arcykapłana pojawili się dwaj kolejni akolici, o pięściach jak bochny chleba.

Haknir po prostu wstał i dał Firnakowi w mordę. Następnie przesadził biurko i złamał nos jednemu z akolitów. Drugi przyłożył mu w podbródek, cogo zamroczyło, ale zdołał posłać podmuch ognia w kierunku przeciwnika. Przy tym okazało się, że kapłani „słynnego” Ofitrysa nie są niewrażliwi na ogień, a ich szaty są wręcz łatwopalne. Płonący akolita wyskoczył przez okno. Na szczęście gabinet znajdował się na parterze. Na nieszczęście okno było zamknięte, a za oknem rósł naprawdę piękny i stary krzew różany. Po wszystkim zamienił się w dymiącą, najeżoną tłuczonym szkłem kupę kolczastych pnączy. Tak oto kończą rzeczy wielkie.

Atlas machnięciem ręki, od niechcenia posłał pierwszego osiłka na komodę. Haknir spokojnie schylił się i podniósł Arcykapłana z ziemi za kołnierz.

– Mam nadzieję, że podczas bitwy kapłani wspomogą nas swoimi... czarami – stwierdził pogodnie Haknir.

– Wal się. – Odpowiedział Arcykapłan.

Haknir potrząsnął nim.

– Obudź się idioto – wycodził. – Tu nie chodzi o religie, politykę, czy złośliwość. Tu chodzi o to chędożone miasto, to samo w którym żyjesz i w którym wyłudzasz pieniądze od staruszek. Jutro do siedziby straży miejskiej mają zgłosić się twoje własne oddziały bogobojnych piromantów. Mam nadzieję, że wszystko jest jasne.

Haknir postawił Firnaka na nogi, odwrócił się i wyszedł z gabinetu.

Atlas podążył za nim.

To nie był koniec roboty.

Do karczmy „Pod dumnym gryfem” wrócił dopiero późnym wieczorem.

Rada miasta wpadła na genialny pomysł mianowania Haknira tymczasowym głównodowodzącym sił obronnych. Czyli po prostu zrzucili na niego obowiązki i odpowiedzialność. Typowe.

Splawił jakoś Zagawa i udał się na piętro, do swojego pokoju, gdzie legł na swoim łóżku, nie zdejmując nawet butów.

Po kilku minutach zdecydował się wstać, aby obejrzeć przysланą mu zbroję. Podał ogólne wymagania i wywlekli ze zbrojowni coś pasującego.

Tak więc nowy pancerz Haknira składał się z krótkiej kolczugi, napierśnika, stalowych karwaszy oraz ochraniaczy na łydki. Wszystko mocne, w dobrym stanie i pozbawione ozdób. W sam raz na głupią śmierć.

* Inteligencję również.

* Haknir nigdy o nim nie słyszał. Mimo amnezji mógł być tego całkowicie pewien. Zapamiętałby tak kretyńskie imię.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

StalowyKruk, dodano 16.01.2018 18:12

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.